

## OJCOWIZNA

Słońce niespiesznie chyliło się za kreską lasu, toteż kombajnista od razu dostrzegł na polnej drodze tego starszego mężczyznę. Szedł powoli, lekko zgarbiony, przysłaniając coraz to oczy, zatrzymywał się, cofał o kilka kroków, jakby szukał na coś miejsca. Wiesiek nie znał go, to musiał być ktoś nietutejszy, nikt normalny nie chodzi po polach w kremowej marynarce i w jasnobieżowym eleganckim kapeluszu przepasanym brązową wstążką. I w jasnych pantoflach.

- Takich w filmach dla bab nazywają dżentelmenami - splunął przez zęby, ale posłusznie zatrzymał kombajn, gdyż gość zaczął machać rękoma.

- Czego pan chcesz? – włożył w to pytanie całe pokłady życzliwości, na jaką było go stać po całodniowej wibracji w kabinie maszyny.

- Droga do Mulden, gut? Mulden, Mulden.

- A, Muldy! Dwa kilometry, gut, gut. Prosto.

Dopiero teraz Wiesiek zauważył, że w cieniu wysokich brzoź stał samochód, ale nie „audik lekko bity, którym Niemiec tylko raz w tygodniu do kościoła jeździł”, jak to mawiał do kumpli po odwiedzeniu kolejnego okolicznego autokomisu; był to najnowszy model i nawet pozłota kurzu nie zabrała mu urody.

Gdy kombajnista późną nocą wrócił do domu, we wsi już huczało, że przyjechał prawdziwy Niemiec. Prawdziwy, gdyż bogaty, niektórzy nawet zauważyli sygnet na jego palcu, co było nietrudne, gdyż Wilhelm Schliwkenbaum chętnie witał się z każdym starszym mieszkańcem wsi, idąc ku niemu z wyciągniętą ręką. Okazało się, że w Muldach zabawi co najmniej tydzień. Może jaki ornitolog albo inny ekolog, bo różnego ptactwa w okolicy mnóstwo, szczególnie boćkami obrodziło, łążą za kombajnem całą tyralierą. A może przyjechał upomnieć się po swoje? Czort go wie! Na wszelki wypadek przyjezdnego zawsze odprowadzały zza firanek ciekawskie pary oczu.

Tylko stara Elżbieta, gdy usłyszała nazwisko Śliwki, bo tak zdążono go nazwać, nie zadawała pytań, a jej oczy koloru jesiennego jeziora nieoczekiwanie zwilgotniały. Z godnością wycofała się na ganek tonący w kwiatkach. Zresztą ona też zawsze była jakaś inna, z nikim się nie spoufalala, nie kłóciła się z sąsiadkami o kury, podatki płaciła na czas, gospodarstwo prowadziła wzorowo, dzieci wychowała dobrze, zostały lekarzami i inżynierami, z kolei teraz ich dzieciaki kończyły studia; a że mówiła z twardym akcentem, to trudno, taki został jej po rodzicach. Bo była stąd. Na pięknej przedwojennej komodzie w stołowym trzymała fotografię młodzieńca w mundurze niemieckiego lotnika.

- To mój starszy brat Kurt, nie żyje, zginął na wojnie – poinformowała dawno temu ciekawską sąsiadkę. Zaraz potem zobaczyła w jej oczach pełne dezaprobaty zdziwienie, za którym poszło pytanie o mundur.

- A w jakim miał być? Nikt go nie pytał, czy chce. Urodził się tu, był Mazurem. Zginął w bitwie nad Anglią. W Dywizjonie 303 byli świetni lotnicy - pokiwała tylko głową w zamyśleniu.

Wilhelm zatrzymał się w pensjonacie nad jeziorem. Gdy wyjmował z bagażnika zwoje kartonów, syn właściciela nieśmiało zaproponował mu umycie auta. Rzeczywiście, szyba i maska po nocnej trasie aż kleiły się od wszelkiego rodzaju owadów. Gość jednak gwałtownie zaprotestował i z zachwytem dotknął lepkości reflektora, po czym schylił się nad mozaiką tego, co niedawno było ważkami lub ćmami i długo się im przyglądał, jakby chciał zapamiętać ten obrazek na zawsze.

- Dzisiaj nie myj, dopiero jak będę wracał – widząc zdziwienie w oczach chłopaka, wyjaśnił. – W Niemczech mam po trasie szyby zawsze czyste, na autostradzie u nas nie ma żadnego komara ani ćmy, a tu na Mazurach tyle owadów, piękne są te szyby, takie naturalne, pierwszy raz to widzę.

Wieczór był ciepły wilgocią znad jeziora. Siedząc na ławce, Schliwkenbaum długo wsłuchiwał się w kaskadę nocnych dźwięków: powietrze rozedrgane cykaniem koników polnych, klekot bociani, zdecydowane pohukiwanie sowy i dzwonienie szekli niosące się ponad wodą.

Następnego dnia wstał wcześniej rano, co niezwykle zdumiało miejscowych, zazwyczaj przyjezdni, prócz wędkarzy, lubili pospać, na śniadaniu zjawiali się koło dziesiątej i przeważnie szli na plażę. Wiesiek z wysokości swego bizona widział, że gość wprawdzie poszedł nad jezioro, ale nie plażował. Już o szóstej siedział pod lasem, gdzie największy kawałek ziemi należał do Więckowskiego. Schliwkenbaum poszedł tam ze zwojami kartonów i tajemniczym wąskim pudłem. Kombajnista nawet nie zachodził w głowę, po co tamtemu było to wszystko. Kłosa obsychały z rosy, robota czekała. Gdy po kilku godzinach zrobił sobie przerwę, wciąż widział sylwetkę Wilhelma tkwiącą nieruchomo na jednej z miedz. Obok stały chyba jakieś drewniane tyczki. Próbował dodzwonić się do żony, komórka dygotała mu w dłoni jak oszalała, a w nim wciąż wszystko wibrowało tak, jakby był częścią kombajnu. Między jednym kęsem a drugim powiedział Kaśce o porannej wędrowce przyjezdnego. Wieść rozeszła się po wsi lotem błyskawicy, a zawarta w niej informacja nabierała nowych znaczeń, tocząc się niczym śniegowa kula.

– Papiery? Poszedł nad jezioro? Od strony lasu? Stoi i kreśli? Tyczka stoi? – posypały się zewsząd pytania.

– Pewnie szuka swego pola? Tam stary Schliwkenbaum przed wojną miał swoją ziemię – wywnioskował dociekliwy stary Listkiewicz.

Ostatni w tym głuchym telefonie był Staszek Więckowski. Spurpurowiał i chwycił za widły.

- Łeb mu pomierzę, szkopowi jednemu! Niczego mu nie oddam! To moje od powojnia! Wara mi, to ponad pół wieku moje! Teraz to moja ojcowizna! - rzucił już w biegu.

Zapowiadało się na niezłą awanturę. Za Wieckowskim wybrało się jeszcze kilku żądnych atrakcji. Rzeczywiście Niemiec był na jego miedzy, obok

stał jakiś trójnóg, ani chybi niwelator, obok leżały zwoje kartonów. Schliwkenbaum przeszedł kilka kroków w lewo, odznaczył coś na papierze. Potem sięgnął po lornetkę, ale nie zdążył przystawić jej do oczu. Więckowski zahamował z piskiem opon motocykla. Klnąc kwieciście i obrazowo, rzucił się do przodu, by zdecydowanym kopniakiem rozprawić się z przeciwnikiem. Wyciągnięta w stronę kartonów noga znieruchomiała w powietrzu, a sam Więckowski dokonywał cudów, by zachować równowagę. Na jego twarzy malowało się bezbrzeżne zdziwienie połączone z jeszcze większą ulgą. Pierwszy raz w życiu widział sztalugi, paleta w dłoni Niemca stanowiła jeszcze większą abstrakcję. Owszem, malowało się ściany, nawet widział, jak młodziaki pisały sprayem świńskie napisy na murach. Ale żeby tak? To jakieś niemęskie, żeby facet stał z tubką farby i gapił się na jego łąkę. A potem ją malował, bo te smugi barw mimo pozornego nieładu na kartonie na pewno były jego łąką i co tu dużo mówić, wyglądało to przepięknie. Zmieszał się, sięgnął do kieszeni, z której wyjął sfatygowaną paczkę papierosów i zapraszającym gestem wyciągnął ją w stronę Schliwkenbauma.

Wracali już razem. Więckowski podwiózł gościa pod sam pensjonat, a nawet pomógł wnieść sztalugi. Nie wzbraniał się, gdy Wilhelm szerokim gestem zaprosił go do środka. Zabawił tam dosyć długo.

Wieczorem, siedząc z kumplami na ławce, Staszek chwalił się nową znajomością.

- To artysta, znaczy obrazy maluje i inne takie cuda, abstrakcje, niepodobne do tego, co widzisz. Ale moją łąkę, choć to takie rozmazane kreski, od razu poznałem. Mieszka w Hamburgu, ale ma też atelje w kurorcie w Alpach - tu z lubością wymówił nowe słowo i popatrzył, jakie zrobił wrażenie na słuchaczach. Tak jak się spodziewał, nie wiedzieli, o co chodzi.

- Pracownię ma z przeszklonym dachem, bo światło dla takiego artysty jest bardzo ważne. Jeździ po całym świecie i wystawia, a ludzie jeszcze mu płacą. Nie wiem, ile – zastrzegł, widząc pełne oczekiwania spojrzenia. – Jak kupowałem kiedyś na dożynkach obrazek do stołowego, to dałem prawie sto złotych. Ale mnie stara zrugła wtedy, że na głupoty wydaję! Tu pewnie podobnie będzie, stówka albo i dwie. Można z tego malowania nieźle żyć.

Następnego dnia Wilhelm dotarł do domu Elżbiety. Długo stał przy furcie, zanim nacisnął dzwonek. Przy stopniach ganku zatrzymał się, w zamyśleniu gładził starą mosiężną klamkę z głową lwa, po czym niepewnie przestąpił próg. Patrzyli na siebie w milczeniu, ich spojrzenia badawczo ślizgały się po posiwiałych skroniach, czołach pooranych koleinami lat, zmarszczkach w kącikach ust, wyblakłych oczach. Z niepamięci przywoływała go w krótkich pocerowanych spodniach, wiecznie kreślącego coś patykiem na piasku lub dłubiącego w glinie. On zza mgły przed oczyma dostrzegł roześmianą dziewczynkę o włosach niczym len. Tak, to byli oni.

Wilhelm w milczeniu podszedł do kredensu i sięgnął po fotografię Kurta, popatrzył, po czym otworzył notes, z którego wyjął pożółkły kartonik i podał go Elżbiecie. Z drugiej fotografii patrzył na nią młodzieniec o oczach Kurta, patrzył na nią z nadzieją i odwagą dwudziestu lat. Przed nim było całe życie, zwycięstwa i podbój Europy. Żołnierz ten trzymał za ręce dwoje dzieci, lnianowłosą dziewczynkę i nieco starszego chłopczyka w pocerowanych spodniach.

- Pamiętasz? To był jego ostatni urlop.

Jak miał nie pamiętać! Przecież to młody sąsiad woził go na rowerze, zabierał na poranne łowienie ryb, to on sprawił mu pierwsze porządne kredki w lakierowanym pudełku z napisami w dziwnym języku (wiele lat później Wilhelm doszedł do wniosku, że była to zdobycz wojenna Kurta z Francji).

- Mielicie najpiękniejszą kuchnię w całej wsi – zauważył, rozglądając się po jak zawsze czystym, kolorowym pomieszczeniu. Zatrzymał wzrok na glinianym garnku. – Ogórki małosolne! Pół wieku takich nie jadłem.

Elżbieta zgrabnie wyłowiła kilka sztuk i położyła je na talerzu.

- Tak, niepowtarzalny smak dzieciństwa – zachwycił się między jednym kęsem a drugim. - Ale wiele się w waszej kuchni zmieniło. Tu stał taki lśniący metalowy piec. Wszyscy go wam zazdrościli. Jak on się nazywał?

- Westfalka. Służył nam jeszcze długo po wojnie. Chodź, coś ci pokażę - Elżbieta wyprowadziła gościa na dwór. Spojrzała na kremowe pantofle Wilhelma, ale szeroko otworzyła przed nim drewniane drzwiczki kurnika. W półmroku dostrzegł westfalkę. Musiała tak stać bardzo długo, zakurzona, miejscami zardzewiała, z przyklejonymi do niej kurzymi piórkami obudziła w nim dawne wspomnienia. Podszedł bliżej. Fajerki były zdjęte, więc zajrzał do żeliwnego wnętrza, które było wymoszczone sianem. Na nim bielilo się jajko. W drugim i kolejnym otworze było tak samo.

- Widzisz, kury uwielbiają tu się nieść, nie muszę nigdzie szukać jajek, bo zawsze je tu znajdę – wprawnym gestem wyłowiła jaja z czeluści westfalki. - Chodź, spróbujesz mojej jajecznicy, takiej, jaką kiedyś smażyła tobie moja mama. Porozmawiajmy o tym, co było. Minęło ponad sześćdziesiąt lat.

Między łykami aromatycznej bawarki a porcjami złocistej jajecznicy słuchał opowieści o tym, jak było po wojnie. A było biednie i źle. Wszyscy ich wytykali palcami. Nieraz żałowała, że nie wyjechali, choć gdyby tak się stało, jej ojciec pewnie przewracałby się w grobie. Potem wieś zarośla się od nowych mieszkańców, jedni przyjechali ze śpiewnym kresowym zaśpiewem, patrzyli na Elżbietę złowrogo, ale to oni po paru latach nauczyli ją robić kartacze. Inni przyjechali w czterdziestym siódmym. Przywożono ich całymi rodzinami. Właśnie taki jeden przywieziony spod Baligrodu się w niej zakochał. Przystojny i zręczny był ten bieszczadzki juhas, jej też wpadł w oko, poza tym okazywał jej dużo czułości, której tak jej wtedy brakowało. Później przyszły na świat dzieci. Wszystkie wyszły na ludzi. Od kilku lat jest wdową, ale nie narzeka, dzieci ma

dobrze, przyjeżdżają z miasta, jak tylko mogą. Sąsiedzi też zaglądają. A najczęściej pomaga Więckowski, drzewo porąbie, ogród podleje i nic za to nie chce. Pomyśleć, że to on kiedyś za jej najstarszym synem wołał: „Szkop! Szkop!”

- Długo tak wołał? Tylko jego jednego tak ci przezywali? – cicho zapytał Wilhelm.
- Jednego. Potem albo Manfred dał mu dobrze w zęby, albo młody Więckowski sam zmądrzał. Nie pytałam, bo i po co. A ja pamiętliwa nie jestem. Wiesz, czasami tak myślę, kim ja dla nich byłam po wojnie? Wstrętną Niemką. A ja jestem stąd, tu się rodzili moi rodzice i dziadkowie. Pomyśl, Robert, mój wnuk, będzie weterynarzem, chce wrócić tu na wieś. To prawdziwy dar od Boga. Sam widziałeś, dom mam duży i pusty.

W milczeniu patrzyli na potężny klon, który było widać z okna. Drzewo miało rozłożystą koronę, ale harmonię burzył jeden z konarów, krótki i dziwnie wygięty.

-Tak, to ten klonik, z którego wycinałeś trzonki na swoje pędzle – uprzedziła jego pytanie.

- Oberwało mi się za to odcinanie gałązek - Wilhelm zaśmiał się cicho.
- A tobie dobrze się w życiu ułożyło? – raczej podsumowała niż spytała. - Słyszałam, że dalej malujesz. Nawet jesteś sławny.
- Tak, teraz mogę kupić najlepsze i najdroższe pędzle na świecie – potwierdził.

Potoczyła się opowieść o powojennej długiej podróży w nieznaną, o ciężkich studenckich latach, goryczy porażek artysty i jego pierwszych sukcesach, o poszukiwaniu sensu życia w palecie barw.

- Pomyśl, tyle lat upłynęło, kończy mi się życie, a wciąż mam przed oczyma tę rdzawą kulę słońca, która wpada tu do jeziora. Widzę kolory traw, fakturę każdego źdźbła. Chcę jeszcze to namalować. To ostatni czas dla mnie. Ale porozmawiajmy o czymś innym – jak najszybciej chciał przegonić zapadającą między nimi melancholię. - Co u Ernesta Drubbeego? On też został wtedy z wami we wsi.
- Wiesz, kilka lat temu przestał się do mnie odzywać, to ci nie powiem.
- Jak to? Pokłóciliście się? On zawsze był taki spokojny.
- Nie rozmawiam z nim, bo leży na cmentarzu – zawsze miała specyficzne poczucie humoru. – Ale pójdziemy do niego, może tobie się zwierzy.

Pod koniec tygodnia Schliwkenbaum jednak poprosił o umycie samochodu, gdyż czekała go podróż do pobliskiego miasta, które malowniczo, jak wszystko w tej okolicy, rozpościerało się nad jeziorem. Wilhelm ostatni raz widział je zimą 1945 roku, gdy z rodzicami opuszczał rodzinną wieś. Jedyнным bagażem, który wiozł ze sobą, było poczucie klęski i wstydu. Jezioro stękało od mrozu, zupełnie niedaleko było słyszeć odgłosy frontu. Zapamiętał na lata czerwone

dachy miasteczka i smukłą wieżę ciśnię z pękatą kopułą. Teraz miał mieć tam swoją wystawę, o czym Więckowski wyczytał w gazecie. Jego szacunek do Wilhelma wzrósł jeszcze bardziej, gdy wieczorem w telewizorze zobaczył relację z imprezy. Wśród gości dojrzał burmistrza, wójta a nawet starostę. Ale najbardziej był zaskoczony, gdy oko kamery skierowało się w stronę obrazów wiszących na ścianach galerii. Na jednym z nich zatrzymało się nieco dłużej.

- Kaśka, patrz, nasza łąka pod lasem! To u nas malował! – wzruszenie i duma aż go ścisnęły za gardło, gdy zobaczył znajomy widok.
- Pozwoliłeś mu tak bez niczego? Jakies odstępnie ci dał? – żona jak zwykle była bardzo praktyczna. – Za ile on taki bohomas może sprzedać? Głupich nie brakuje. Pewnie z pięćset złotych może wziąć.
- No wiesz, przecież to zaszczyt dla nas. Taki obraz wisi potem w muzeum i wszyscy go podziwiają. Teraz i za sto lat. Ludzie czytają na tabliczce, że to malowane u nas w Muldach. A obrazy sprzedaje po dziesięć tysięcy złotych albo i więcej. Cenę podaje w euro, dwa, trzy tysiące, i ludzie kupują, nie tylko w Niemczech, nawet w Ameryce i Japonii sprzedaje. Elżbieta mi to powiedziała, a ona nigdy nie kłamie. Ale ja nawet sprawdziłem w internecie, że to prawda. Jest tam taki specjalny katalog z cennikiem.
- Boże, taki pieniądz za nic!
- Za talent i pracę. Namalujesz tak? Nie! A pan Wilhelm potrafi. Ja nawet nie wiedziałem, że nasza łąka jest taka piękna, że w niej tyle światła i kolorów. A najważniejsza jest kompozycja i światło, trzeba znaleźć dobre miejsce dla artysty, trzeba dobrze ustawić sztalugi – powtórzył tonem znawcy słowa, które niedawno usłyszał. – A wiesz, że ja mu te sztalugi pomagałem nosić? Bo on już swoje lata ma.

Słońce dopiero wytaczało swoją kulę zza lasu, gdy Wilhelm Schliwkenbaum opuszczał Muldy. Wnętrze auta było przesiąknięte aromatem soczystych jabłek, które kolebały się w koszu. Ogórki małosolne miał zjeść po drodze.

Było wcześniej, ale nie dla miejscowych, gdyż zwierzaki jak co dzień domagały się o swoje prawa. Więckowski, ziewając, stanął na ganku i spojrzał na bocianie gniazdo. Było puste. Chciał się przeciągnąć. Promienie słońca na moment poraziły mu oczy, ale mimo to dostrzegł duży wąski karton dla bezpieczeństwa wetknięty między ławkę a ścianę jego domu. Podszedł do paczki. Czyżby malarz czegoś zapomniał? Podbiegł do furtki, ale Wilhelma już nie było, Więckowski ujrzał jedynie obłok kurzu unoszący się nad autem niknącym w oddali. Zapomniał? Jednak litery na kartonie nie budziły wątpliwości, że od teraz to on jest jego właścicielem. Ostrożnie wyjmował z pudła obraz. Jego łąka! Jak raz żona wchodziła do kuchni, gdy smugi słońca rozłożyły się na kartonie, który nabożnie trzymał w dłoniach.

- Zapomniał? – zdziwiła się Kaśka.
- To prezent dla mnie, tak pan Wilhelm napisał.

- Taki duży obraz, pomyśl, ile on jest wart – w głowie żony jak zawsze szybko uruchomiła się maszynka do liczenia pieniędzy. – Sprzedamy. Kupisz sobie kilka takich malunków na dożynkach, na każdą ścianę powiesz i jeszcze na nowe meble będzie.
- Nie, to mój obraz z moją łąką – rzekł stanowczo, a widząc rozżalone spojrzenie kobiety, dodał łagodnie – przecież to moja ojcowizna.